№ 6. Warszawa, dnia 5 Lutego (24 Stycznia) 1898 roku. Rok XL.

TYGODNIK MÓD I POWIEŚCI

Pismo Illustrowane dla Kobiet

PRENUMERATA WYNOSI:
W Warszawie
Kwartalnie . . . . rs. 1.
Za odnoszenie do domu kwartalnie kop. 10.
Z przesyłką pocztową
Kwartalnie . . . . . rs. 1 kop. 25.

Adres Redakcyi i Administracyi:
Warszawa, Chmielna № 26.
TELEFONU 106.

PRENUMERATA WYNOSI:
We Lwowie i Krakowie
Kwartalnie złr. 2. Na prowincyi złr. 2 cent. 30.
W Poznaniu
Kwartalnie marek 3. Na prowincyi mar. 3 pf. 50.
Cena ogłoszeń: Wiersz petitu z szpalt. lub jego miejsce kop. 12. Nadesłane wiersz z szpaltowy garmontu kop. 50.

MARYA RODZIEWICZÓWNA.

KĄDZIEL.

POWIEŚĆ.

(Dalszy ciąg).

Jesień posępna wciąż się odzywała się za oknem, przywodząc pamięć śmierci, zimna, i błądzenia.

— Jezu, jakeś się przemienił będąc Bogiem, a stając człowiekiem, tak przemienić racz troski i nędze nasze w pociechę i uspokojenie—szeptała pani Taida oglądając legat zmarłej.

A skończywszy, otworzyła kantorek z pieniędzmi, między kartki zielnika włożyła banknot storublowy i nadpisała na zielniku: „legat cioci Dysi dla Stasi Ozierskiej, z prośbą o pamięć o zmarłej w modlitwie."

Nazajutrz sama zapieczętowała kopertę i wysłała na pocztę.

W parę dni potem przybyła panna Wanda Marcińska. Miała na sobie czerwoną bluzkę, złoty pasek, kapelusz jaskrawy i trefioną grzywkę. Zapewne znajdywała, że z tem jej „do twarzy," ale niestety nie było to do „do gustu" pani Taidy, a że się nigdy nie bawiła w dyplomacyę, więc obejrzawszy ją od stóp do głowy, rzekła bez ogródki:

— Moja droga, czy ciebie nikt nie zaczepił na kolei?

Dziewczyna poczerwieniała.

— Nie, proszę pani! — wyszeptała.

— No, to bardzo szczęśliwie, bo zrobiłaś co można, żeby zwrócić uwagę, i narazić się na nieprzyjemność. Pokażę ci twój pokój, rozgość się i zmień ubranie. Mamy żałobę w domu!

Panna Wanda zaledwie się znalazła sama, zalała się łzami nad swojem nieszczęściem, że musi służyć, i znosić morały obcej osoby.

Na ten wybuch rozpaczy trafiła stara sługa, która jej przyniosła lampę i przeraziła się okropnie, ile że w Rudzie nikt nigdy nie płakał, oprócz po śmierci cioci Dysi.

— Mój Boże, czy panienka pochowała kogo? — spytała życzliwie.

— Sierota jestem, zmuszona służyć i pracować u obcych!—wyszlochała panna Wanda.

— Niechże panienka nie rozpacza. Nad sierotą Bóg z kaletą, powiadają. Panienka młoda, zdrowa, ładna, los się zmieni, kawaler się trafi. Tu u nas ludzie też żyją. Ja już czterdzieści lat przesłużyłam, i nie płaczę na dolę! Jeden służy, drugi panuje, ale pracować każdemu trzeba. O to niema co płakać.

— Wasza pani okropnie sroga.

— I... bez racyi złego słowa nie powie! Wiadomo, wymaga roboty, bo i sama pracuje — wygderze — od tego pani i gospodyni, ale sprawiedliwa. Nieboszczka to święta była. Za nią i modlić się nie trzeba! Do Boga poszła jako święta.

— A ludzie tu bywają? — już spokojniej, ciekawiej badała panna Wanda.

— O, bywają. Kto chory, kto potrzebę ma, to idzie jak na odpust.

— Ale z sąsiedztwa? Goście?

— To nie! Nasza pani tego nie lubi, chwała Bogu!

— Dlaczego chwała Bogu?

— Bo z gości ino rozchód, nieporządek i plotki. Służba wybredza i buntuje tutejszych, a państwo ino drwią i ogadują. U nas, dzięki Bogu, panien na wydaniu niema, żeby je ludzie oglądali; panicze kompanii nie szukają — spokojnie.

— A panicze w domu?

— Ej, nie. Latem w żniwa przyjadą. Starszy czyta, gra, śpiewa — młodszy na polowanie chodzi. Do ludzi obadwa nie łapczywi, a Boże broń, nigdy zgorszenia nie uczynią.

— A furman mi mówił, że jeden bawi w domu?

— To tylko dla tego nieszczęścia pozostał, że naszej pani ciężko było w pustym domu. Pewnie jutro wyjedzie.

Panna Wanda westchnęła i otarła łzy.

Jakaś jaśniejsza myśl spędziła troskę. Otworzyła torbeczkę ręczną, dobyła lusterko, puszkę z pudrem, i zlekka upudrowała grzywkę i twarz.

Stara Józefowa pierwszy raz widziała podobną operacyę, i nie mogła pohamować ciekawości.

— Co też to panienka robi z tą mąką? — zagadnęła.

— To nie mąka, to puder. Okropny wiatr dzisiaj, boję się, że mi twarz spierzchnie. I pryszczyk mi na czole się formuje. Moja kochana dajcie mi trochę kwaśnego mleka na noc.

— Na noc! — powtórzyła Józefowa. — Toć będą kotlety i omlet na kolacyę. Głodem tu nie morzą.

— Ale jabym się umyć chciała.

— Kwaśnem mlekiem! Jezu Panie! Toć wody ma panienka dwa dzbanki.

Starowinie w głowie się mięszało. Mąka na włosy, mleko do mycia. Fiksatkę jakąś nasłali pani. Straciła też chęć do przyjacielskiej gawędy, i wyszła, ponieść do reszty służby swoje wrażenia.

Panna Wanda wzdychając, rozpakowała swój kuferek. W jednej chwili pokój był pełen gratów, sukienek, bluzek, spódnic, kapeluszy, rękawiczek i pantofli. Rzeczy te zajęły wszystkie sprzęty, ściany, nawet podłogę, aż było nie do uwierzenia, aby tak niewielki kuferek mógł zmieścić w sobie tyle rupieci. Po długim namyśle przebrała się panna Wanda, przymierzywszy wszystkie sukienki, zanim się na jedną zdecydowała, i nie sprzątnąwszy nic po sobie, a słysząc głosy w salo-

nie, wyszła, ciekawa bardzo młodego Skarszewskiego.

Ale on nie zdawał się wcale podzielać jej zajęcia, bo ukłonił się sztywno i dalej debatował z matką o jakichś pługach, które jej polecał, a przeciw którym ona trochę oponowała.

Panna Wanda usiadła, i znowu jej się na płacz zbierało, że jej nikt nie bawi.

— Moja droga! — nagle zagadnęła ją pani Taida. — Jutro biją wieprze, trzeba ci będzie bardzo rano wstać, aby tego dojrzeć. Czy znasz się na fabrykacyi wędlin, aby zadyrygować klucznicy i kucharzowi.

— Nie — bąknęła panna Wanda. — U nas w domu zajmowała się tem służba.

— Hm, ja nie jestem na tyle zamożna, a moje wędliny mają stały zbyt do Odessy. Nie mogę tego lekceważyć. Dam ci dzisiaj przepisy do przejrzenia! Czemże zajmowałaś się w domu? Moja siostra mówiła, że się znasz na gospodarstwie. Zajmowałaś się tem u Rosowskich?

— Wyręczałam czasami mamę, a u Rosowskich miałam klucze od apteczki, i robiłam herbatę!

— To niewiele. To najwyżej dwie godziny na dzień. No, mam nadzieję, że się wprawisz, byle ochota i życzliwość, pogodzimy się łatwo.

Wyszła do jadalni, a Kazio spytał:

— Zapewne lubi pani wieś i gospodarstwo?

— Trudno lubić służbę i obowiązek! — odparła.

— W takim razie bardzo pani będzie ciężko, bo czemże takie życie różni się od galer. Gdy się do obranego zajęcia niema powołania, nic się rzetelnego nie zdziała.

— Trudno mieć powołanie do robienia wędlin! — rzekła ironicznie.

— Tak — to mi tłumaczy tyle niesmacznych wędlin — uśmiechnął się.

Panna Wanda zreflektowała, że ją rozdrażnienie zadaleko uniosło, i poczęła się cofać.

— W każdym razie moje aspiracye w niczem nie wpłyną na sumienne zajęcie się. Będę się starała zadowolnić moich chlebodawców.

— Ja właśnie chciałem prosić panią o serdeczną życzliwość dla mojej matki. Jest bardzo samotną, potrzebuje towarzystwa, pomocy, często hamulca dla nadmiernej pracowitości. Proszę, niech pani będzie dla niej dobrą.

Panna Wanda spłonęła rumieńcem zadowolenia; dola ofiary nie wydała się jej już tak straszną.

Ukradkiem zerknęła na Kazia, i pod upudrowaną grzywką, już się roiły marzenia rozkoszne.

Wydał się jej bardzo zajmującym, bardzo wybitnym, ba, nawet bardzo pociągającym.

Naprawdę był to osiemnastoletni, niezgrabny drągal, śniady, z czupryną jak szczotka, wcale nie piękny, ostrych rysów, i niesłychanej chudości. Wyrastał wciąż jeszcze z ubrania, które z tej racyi wyglądało zawsze jak pożyczone, a to żenowało go, i czyniło jeszcze niezgrabniejszym.

(Dalszy ciąg nastąpi).



1 Lutego 1898 roku.

Zaczynamy sprawozdanie nasze od sukien strojnych na wieczory karnawałowe. Widzieliśmy właśnie w pracowni pani Elizy Petit przy ulicy St. Lazare 77, piękne gazy w rozmaitych odmianach i kolorach; najwięcej między niemi w bladem odcieniu różowem, błękitnem i paliowem. Dla młodych panienek biała najwięcej używana. Dajemy tu szczegółowy opis tej leciuchnej tkaniny.

Gaza sztywna, bardzo klarowna, w groszek wypukły, jakby haftowany atłaskiem, zasiany na tle białem lub kolorowem. Inna w drobne wypukłe prążki jedwabne. Najstrojniejsza ze wszystkich, przewłóczona między paskami nitką złotą lub srebrną, pięknie błyszczy przy świetle elektrycznem.

Obok tej widzimy gazę miękką niezbyt klarowną, przerabianą jedwabiem w marmurek, z pozoru podobną do materyi. Niepodobna wyliczyć tu różnych jej odmian. Ładnie też wygląda gaza całkiem gładka, niekiedy krepowana, lekka i powiewna jak obłok. Suknie takie dają zwykle na spódniczce atłasowej tegoż samego koloru. Stanik u nich wycięty czworograniasto, bufowany jak bluzka, to wzdłuż, to w poprzek, to czasami w ukośnym kierunku; bufowanie to ułożone zawsze na atłasie, gładko dopasowanym do figury. Stanik nie spina się z przodu ani na plecach, ale z boku na niewidzialne haftki. Otacza go szarfa atłasowa, niezbyt szeroka, związana w tyle na kokardę; końce dłuższe lub krótsze według woli.

W pracowni pani Petit, zwróciło uwagę naszą kilka ślicznych sukien gazowych; dajemy tu szczegółowy ich opis.

Pierwsza dla młodej panienki biała w wypukły groszek. Spódniczka namarszczona dokoła; na białej atłasowej. U dołu idą trzy wązkie nafałdowane falbanki jedna nad drugą, objęte brzegiem białą atłasową wstążeczką. Stanik namarszczony wzdłuż z kwadratowem wykrojeniem; zakończony w górze dwoma falbaneczkami. Rękawki krótkie, złożone z trzech falbanek, przez lewe ramię przechodzi girlanda z bengalskich róż z listkami, z prawego boku upięty także bukiet w miejscu gdzie się ten kończy. Dopełnia ubrania wązka szarfa biała atłasowa, związana w tyle na kokardę.

Druga suknia z czarnej gazy, w wypukły rzucik jedwabny. Ta gaza podwleczona białą nieco ściślejszą, co tworzy kolor popielaty. Pod to idzie czarna atłasowa spódniczka, zakończona ruszką. Stanik z podwójnej gazy, w formie bluzki namarszczonej w poziomym kierunku, objęty szarfą czarną atłasową. Rękawki małe bufowane. Poniżej lewego ramienia, upięty wielki bukiet z pąsowych maczków; drugi z prawej strony poniżej stanika, spada dość długo na spódnicy.

Trzecia suknia z gazy jasno-błękitnej w białe wypukłe prążki; spódnica wkoło namarszczona, zakończona szerokim obrębem. Z obu stron przodu idzie wzdłuż spódnicy rusza z białej podwójnej gazy, szersza u dołu, zwężająca się w miarę jak dochodzi do pasa. Stanik wycięty kwadratowo cały namarszczony, przez piersi i plecy, przechodzi wązka ruszka biała. Takaż sama rusza bardzo gęsista otacza ramiona zastępując miejsce rękawków.

Czwarta suknia różowa z miękkiej gazy mięszanej z jedwabiem. Spódniczka z przodu całkiem płaska. Od prawego boku wybiegają trzy białe gazowe wolanty, objęte aksamitką czarną. Zaczynają się blizko ziemi, szerokie na dziesięć centimetrów, potem zwężają stopniowo i kończą poniżej stanu oddalone o łokieć, przytwierdzone długim bukietem z róż bengalskich i liści. Takiż bukiet upięty z prawej strony, w miejscu, zkąd wybiegają wolanty. Stanik marszczony, z czworograniastym wykrojem, ujęty w biały pasek naszyty cztery razy aksamitką. Na wykroju dane trzy odpowiednie falbanki, zakończone z obu stron różami, takież epolety zastępują miejsce rękawków.

Piąta suknia z gładkiej gazy blado różowej mięszanej z jedwabiem, u dołu spódnicy dwa wolanty, szerokie na ćwierć łokcia, węższy z wypuszczoną główką, na to idzie druga spódniczka biała gazowa w przerabiany deseń różowy, otwarta zupełnie na przodzie, po obu stronach objęta białą ruszą. Stanik kwadratowy, przód zaplisowany w poprzek, boki i plecy białe jak spódnica. Takież epolety zakończone ruszką z różowej gazy — krótkie rękawki lekko nabufowane; na wykroju wązluchna ruszka biała. Szarfa do tego różowa związana w tyle na kokardy z końcami.

Szósta suknia z gładkiej materyi lilla, w odcieniu różowawem *mauve*, bardzo ładnym przy świetle. Spódnica płaska do boków, od stanu wybiega na obie strony odwracana falbanka, rozszerza się stopniowo i otacza cały dół spódnicy, z wyjątkiem przodu tworzącego fartuszek. Stanik gładki, wycięty kwadratowo, od wykroju spada na piersi szeroki wolant z tejże materyi, sięga do paska, ze wstążki w kolorze zielonym, związany w tyle na kokardę. Wolant na wykroju zakończa ruszka lilla. Rękawki złożone z trzech falbanek. Na lewem ramieniu upięty bukiet z anemonów lilla z wielkimi liśćmi zielonymi. Z pod mocno wyciętego stanika, wybiega chusteczka illuzyowa.

Wśród sukien na mniejsze wieczorki lub do teatru, uważaliśmy bardzo ładną z białej wełnianej tkaniny, lżejszej od sukienka. Z obu stron spódnicy idą rzędem bukieciki z czarnej gipiury, coraz większe w miarę jak schodzą do dołu. Tworzy to długi do ziemi fartuszek. Stanik gładki, nie odcinany od spódniczki, przybrany odpowiednio po obu stronach. Rękawy obcisłe; od ramion do ręki naszyte bukieciki koronkowe. Kołnierz do tego czarny koronkowy *medicis*, odwinięty po bokach. Pod spód dana fryzka z białego muszlinu jedwabnego. Mankiety czarne koronkowe, podbite ruszką białą.

Te koronkowe bukiety, lub kwiaty pojedyncze, bardzo modne w tym roku. Niekiedy widzimy je whaftowane klarowno, czyli *inkrustowane* w tkaninę wełnianą, częściej jednak naszywają je zwierzchu; tym sposobem można je usunąć, nie psując materyału.

W ogólności suknie z białej wełnianej tkaniny czy to w paski, czy w rzucik biały, bardzo przyjęte w tym roku na obiady, czy na małe wieczorne zebrania. Zdobią je aksamitem czarnym, błękitnym lub zielonym. Pod otwarty stanik dana zwykle szmizetka z białej materyi *surah*, lub gipiurowej koronki rzęsisto ugarnirowanej.

W układzie włosów wielka panuje rozmaitość, w tem tylko zbliżeniu, że warkocz wysoko podniesiony w górę, tworzy na środku głowy fantastyczne skręty lub pukle małych rozmiarów, przepięte niekiedy kokardą z czarnej aksamitki. Od szyi do skrętu, włosy bardzo wolno puszczone. Fryzurki z przodu głowy jeszcze się utrzymują, z tą różnicą, że zachodzą dalej ku skroni. Widzimy też często włosy podniesione w górę tworzące nad czołem wystający wałek, z pod tego wybiega parę drobnych pukielków. W układzie włosów żadna Paryżanka nie trzyma się mody niewolniczo, lecz trefi je według fantazyi i twarzy własnej.

Ogromne kołnierze stojące, których tak nadużyto z początku zimy, zaczynają się zmniejszać coraz bardziej. Znikają też ciepłe boa i obróżki futrzane. Zastąpił je dziś szalik koronkowy, biały lub czarny, związany z przodu na wielką kokardę z długo spadającemi końcami.

Seweryna Duchińska.

Powieści Prządek.

O r ł y.

Hej, siostry moje, dorzućcie łuczywa, niech bucha ogień, niechaj gore żar!

W duszy mam powieść ognistą, a smętną, jak zachodzącego słońca blask ostatni. Dajcie wpatrzeć się w złote fale płomienia, a powieść sama z duszy jak lawa z wulkanu się wyleje. Tak mówiła czarnooka prządka o brwiach sokolich i smutnym zagadkowym uśmiechu.

Buchnęły płomienie łuną krwawą, a ona mówiła:

Na szczycie góry siedziałam sama. U stóp mych były przepaście i urwiska, u stóp mych oddalony leżał świat. Iglicę skalną objęłam ramieniem, dokoła głowy mej płynęły chmury. I cisza była na szczytach. Aż z oddali głosy usłyszałam potężne. Orłów krakanie płynęło przez chmury. Zawołałam na nie... bo choć ja między wami prządka cicha, ale tam na szczytach ja orłów królowa... I zniżyły loty swoje, i jeden po drugim spadały na iglice skalne. A ja gładziłam pióra ich poszarpane w długiej powietrzem podróży i o przygody wędrówki dalekiej pytałam. Krwawe były dzioby drapieżników, w dzikich źrenicach płomień gorzał ponury. Więc poznałam, że z pobojowiska wracają. Spojrzałam w stronę, z której przyleciały. Tam, za mgłami gdzieś, het, pole widać usłane trupami leżało, dla orłów i kruków zastawiony stół. Więc o biesiadę pytałam je krwawą.

Z zadowoleniem wycierały dzioby o skały: obfity był żer. Całem stadem krążyły nad głową moją, wszystkie razem kracząc urywaną powieść swą. Jeden, młody, wspaniały ptak kilka razy zajrzał mi w oczy, kilka razy musnął mnie piórami skrzydeł. Więc wyciągnęłam rękę by usiadł na niej i pytałam:

— Orlę moje, a byłyż tam w tych trupach, bohaterów serca?

Roześmiał się głośno dzikim śmiechem ptaków drapieżnych: Nie było! Nie było!

— Orlę moje, a byłyż tam serca, co kochały?

— Nie było! Nie było!

— Jam dostał na łup tchórza serce i każde pióro drży dzisiaj na mnie — krakał siwy sęp, stare, ponure ptaszysko.

— A ja serce tak suche, że w nim kropli krwi żywej nie było.

— A jam napróżno kuł dziobem w pierś pustą. Serca nie było w niej wcale.

— A ty, ptaku młodzieńczy, jakąż ty ucztę dziś miałeś?

— Okrutnika serce pożarłem. Napiłem się krwi. Nie jego była! Krew czarna, ze słabych, bezbronnych wyssana! Ha, silnym teraz, jak on silny!

I innych pytałam jeszcze, a wszystkie odpowiadały podobnie. Wątłe, wątłe albo okrutne serca były w tych piersiach.

I zawstydziłam się za mój ród ludzki, głowę zwiesiłam na piersi, a orły widziały wstyd mój, i ucichły.

Wtem w powietrzu jedne jeszcze zaszumiały skrzydła. Od strony pobojowiska przez chmur tumany orlica leciała młoda. Gwałtownie biła powietrze czarnemi skrzydłami, i krakała zdala głosem podobnym do krzyku: „O biada mi! Biada!"

Wyciągnęłam rękę, by uspokoić ją, i dać jej wypoczynku chwilę. Usiadła i ludzkim jakby, bo żałosnym wzrokiem, spoglądała w oczy moje.

— Co ci, ptaszyno?

Ptasią mową swoją skarżyć się zaczęła:

— Z braćmi razem poleciałam na żer. Trupami zasłana była niwa. Starsi rzucili się najpierwsi. Mnie dostał się ostatni w szeregu. Nie trup to był. Żył jeszcze, i takiemi spojrzał na mnie oczami, że zawahał się okrutny orli szpon. Jego oczy mówiły: „Kocham was, wy pola, wy dalekie! W ostatniej godzinie kocham was." Potem ku niebu się zwróciły: „Żegnam cię, ty moje!" A potem ku słońcu: „Do ciebie dawno, dawno rwała się dusza, a teraz uleci do ciebie..." I zamknął oczy błękitne. Szpony wpiłam mu w nie gniewna, i wydrapałam te oczy łzawe... Potem pierś rozdarłam, i do serca dobrałam się dziobem. Krew z niego buchnęła gorąca, jasna. Ha, jad był w tej krwi serdecznej! Już ja teraz nie orlica, nie siostra wasza, bracia! Szaleńca serce pożarłam, i opętał mnie szał, miłości i tęsknoty szał.

Za nim, za nim na słońce polecę! Za nim! bracia bywajcie zdrowi!

I rozwinęła skrzydła poszarpane, przez mgieł i chmur tumany się przedarła, i prosto w górę, ku słońcu poszła złotemu.

O siostry moje, jeśli ta orlica nie wróci żywa na ziemię, jeśli ona skona w lotnej wędrówce ku słońcu, w lotnej pogoni za duszą, co kochać umiała do śmierci i tęsknić do śmierci, o siostry moje, czy myślicie że Stwórca nie ozłoci skrzydeł jej, że ze skarbnicy swojej słonecznej nie udzieli jej promyków paru? O siostry moje, módlcie się za nią! Bo może on szatę da jej białą i ludzki głos, i jaką prządkę nową posadzi pomiędzy nami...

* * *

Skończyła opowiadanie swe czarnooka, jasnowłosa, i cisza trwała chwilę długą. Może marzyły prządki o onej orlicy, co jadem—wyssanym z serca szaleńca, poety, czy bohatera — pijana, na drogi poleciała słoneczne. Przygasł ogień, szelest wrzecion ucichł, i wicher tylko zimowy grał swoje muzyki dzikie. Aż sennym, powolnym głosem mówić zaczęła dziewica, której źrenice były barwy mórz—zielonawe i jak morza głębokie.

B ó l.

Siostry moje, cóż opowiem wam? Odlatywała dusza moja w przestworza dalekie. Ze światłem księżyca schodziła w jezior głębie, przed jutrzenki wschodem, zielonawym szlakiem powietrza płynęła, w płomień zórz zapuszczała się nieustraszona, nocami cichemi do gwiazd leciała, pragnieniem i tęsknotą drżąca. I duchy przeróżne na drogach tych spotykała, światy dziwne widywała i nieznane.

I były jedne duchy jasne, inne jako cienie olbrzymie przesuwały się nad nią, inne jako obłoki na niebie przerzucały się z kształtów jednych do drugich, raz kwiatu kielichem strzelając w górę, to rzeki wstęgą fantastyczną wijąc się po przestworzach nieskończoności, ruchliwe, zmienne, nieujęte.

Raz stanął przedemną duch, który jednej chwili zdał mi się młodzieńcem pięknym, drugiej — słupem ognia czerwonym. Wionął ku mnie żarem, i ognistemi biczami siekł duszę moją.

— Kto jesteś? — pytałam.

Odpowiedział mi: „Ból." A ja podeszłam ku niemu, i choć cierpienia siła natężała się z każdą chwilą, padłam w otwarte ramiona jego.

Odtąd on zawsze jest ze mną. Wy go nie widzicie, ale ja czuję obecność jego. Uściskiem ognistym oplata mą duszę, topi ją w ognia swego żarach.

Nie odwracajcie się, nie trwóżcie! Kochanek mój potężny jest i mądry.

On duszy mojej dał siłę, której nie miała. On ją ostalił i hartowną uczynił. O siostry, komu ból był kochankiem, ten nie ulęknie się śmierci, i piekła nie ulęknie się nawet! On nauczycielem moim. On mi dał poznać prawdy, ukryte dotąd przez duszę moją. On mi pokazał piękno nietylko na szlakach podniebnych, ale i na nizinach ziemi. Przez

niego pojęłam wymowę płaczu i jęku piersi żywej. Przez niego stała mi się jasną tęskliwa pieśń lasów i pól, wichrami szumiących. O nie lękajcie się! On dobry jest. W ogniu jego oczyściła się dusza moja i bielsza stała się i szlachetniejsza.

Więc ukorzcie się przed kochankiem moim, i mówcie:

Pochwalony niech będzie *Ból*, który daje siłę! Pochwalony niech będzie *Ból*, który naucza! Pochwalony niech będzie *Ból*, który oczyszcza!

Helena Ceysinger.



POEZYA W TEATRZE.

Ostatnie dziesiątki lat wcale nie sprzyjały poezyi na scenie. Ów, podług dawnych pojęć „wielki dramat," który nie znosił prozy, zastąpiły utwory realistyczne, psychologiczne, symboliczne, nastrojowe... Dzieło sceniczne wierszem było rzadkością we wszystkich teatrach europejskich — od mowy wiązanej w przybytku Melpomeny odwykła zarówno publiczność jak i artyści. Ci ostatni szczególniej. Odtwarzając niemal wyłącznie szare postacie życia codziennego, zapomieli po trochu, jak należy muzyką słowa wyrażać wielkie przełomy duchowe, wielkie namiętności i wielkie cierpienia. Wśród publiczności zaczynało szerzyć się przekonanie, że teatr winien być tylko miejscem pustej zabawy po pracy - areną łatwego śmiechu. Rozgoryczeni ogólnem zobjętnieniem, poeci umilkli...

To, co się działo na całym świecie musiało odbić się mocnem echem i w Warszawie. Przez długi czas poważna tragedya była tu na indeksie. Dość było umieścić na afiszu dwa wyrazy: „dramat" i „wierszem," by loże i krzesła świeciły pustkami.

Nawet arcydzieła Szekspira nie przezwyciężały powszechnej niechęci. Wyjątek czyniono tylko dla takich artystów, jak Maggi... Kult dla klasycznego dramatu szerzył się na galeryach i paradyzie; „wysoka publiczność" nie przestała nigdy być wrażliwą na potężne wybuchy, wypowiadane językiem bogów.

W Paryżu, prócz dwóch rządowych teatrów, które, wzamian za państwowe subsydyum, obowiązane są podtrzymywać znicz świętej poezyi, wszystkie inne teatry wygnały precz widmo wielkiej tragedyi, niosącej kasie pustkę niechybną.

Pailleron zaznaczył ten zwrot smaku publiczności w swoim „Świecie Nudów." Ów generał, który wykrzykuje z przerażeniem:

— Dramat! I do tego wierszem! uosabiał zdanie większości.

Mówiono wiele o zmateryalizowym schyłku wieku, którego realne aspiracye miały zniszczyć poczucie duchowego piękna.

Jak gdyby natura mogła wyzbyć się najszlachetniejszych swoich ideałów, jak gdyby można było zagasić ów wieczny ogień, który choć przyćmiony chwilowo, nigdy przecież nie przestanie się żarzyć!

I oto zeszły rok wyróżnia się nagłym zwrotem, który jednocześnie niemal zaznacza się w Paryżu i w Warszawie. Podczas gdy na scenie „Odeonu" tryumfuje „Wiejski włóczęga" (le Chemineau) Richepin'a, potężnie odczute dzieło poety, teatr Wielki w Warszawie rozbrzmiewa powodzeniem „Turnieju." Pamiętam pierwsze przedstawienie pięknego dramatu p. Kozłowskiego. Publiczność, odwykła od muzyki wiersza, była na razie jakby zdumioną, ale jędrny i dosadny rym, porywająca melodya słowa, prędko odniosły zwycięztwo. Pierwszy akt skończył się wśród burzy oklasków — poezya wygrała bitwę.

Zdając sobie sprawę z nowego prądu, reżyserya wystawić ma teraz „Almanzora" p. K. Glińskiego. Jeszcze przed 7-iu czy 8-iu lat widziałem egzemplarz tego dzieła, które już wówczas wprowadzonem być miało na scenę. Ale reżyserya obawiała się „dramatu wierszem," kosztownego przytem do wystawienia. Melodramaty bez wartości, jak „Żywy posąg," lub kostyumowe komedye z kupletami, budziły więcej zaufania. Utwór tedy Glińskiego spoczął na półkach teatralnej biblioteki i dopiero dzisiaj przypomniał sobie o nim p. Ładnowski.

Jeżeli zeszłoroczny sukces „Turnieju" kolegował w Paryżu z powodzeniem „Wiejskiego włóczęgi," życzyłbym p. Glińskiemu, aby jego „Almanzor" doznał równego losu, jak tragedya wierszem pana Rostand p. t. „Cyrano de Bergerac." Wystawił ją Coquelin starszy w swoim teatrze „Porte St. Martin" i osiągnął niebywały od wielu lat tryumf. Publiczność, zmęczona realistycznymi obrazami codziennego życia pp. Becque'a, Wolffa, Laredan'a i innych, okrutną obserwacyą p. Brieux, posępnym i mglistym „skandynawizmem" Ibsena i jego naśladowców, przyjęła świeże, tchnące zdrowiem młodego talentu dzieło, entuzyastycznie. Cały Paryż tłoczy się do „Porte St. Martin"—setki przedstawień zapewnione.

P. Rostand, autor „Cyrano de Bergerac" jest szczęśliwym człowiekiem. U nas powiedzianoby, że się rodził w czepku. Ma lat trzydzieści, jest bogaty, posiada młodą piękną żonę — poetkę niepospolitego talentu.

Teraz został sławnym. Nie poskąpiono mu nawet uznania narodowego; po trzeciem przedstawieniu „Cyrano," autor otrzymał legię honorową.

Powodzenie to jest uzasadnione, gdyż dzieło jest piękne. Objawił się w niem poeta z Bożej łaski — przyszedł i zwyciężył!

Bohater dramatu p. Rostand, średniowieczny rycerz poeta, równie biegły w szermierce orężem jak w układaniu ballad i romansów, żołnierz o sercu czułem i szlachetnem, jest nieszczęśliwy jednak z powodu swej brzydoty. Szpeci go mianowicie nos, nos anormalmalnie wielki.

Już Agavlo Firenzuola, w dziele swem poświęconem „szlachetnej damie z Preto," szeroko rozpisuje się o znaczeniu nosa w ogólnej harmonii twarzy.

— Nos jest najważniejszą częścią twarzy— mówi. — Powinien być nie za długi, nie za wązki...

Cyrano de Bergerac ma nos stanowczo za długi Gdziekolwiek się ukaże, wielki i dziwnego kształtu organ powonienia rycerza budzi śmiech i wesołe żarty, których nawet nieustanne pojedynki nie mogą uśmierzyć.

W zasadzie przypomina to trochę „Człowieka śmiechu" Wiktora Hugo.

Cyrano kocha bez pamięci Roxanę, lecz ona nie przypuszcza, by szpetny rycerz mógł podnieść na nią oczy. Co najwyżej, może być jego przyjaciółką i czyni go nawet powiernikiem miłości, jaką czuje dla pięknego Chrystyana. Cyrano cierpi okrutnie, w bezgranicznem wszakże poświęceniu dla ukochanej, czyni wszystkie możliwe wysiłki, aby połączyć ją z Chrystyanem, aby była szczęśliwą. Własne uczucie tai na dnie serca. Chrystyan ginie w walce z nieprzyjacielem. Roxana usuwa się do klasztoru, a w poblizkiem miasteczku osiedla się Cyrano, sterany długoletnią wojaczką.

Odwiedza codziennie piekną wdowę, którą kocha jak dawniej, a ona — jak zawsze — nie domyśla się wcale tej miłości. Dopiero w przedśmiertnej gorączce posiwiały trubadur zdradza się ze swem uczuciem, którego potęga wzrusza do łez Roxanę. Zapóźno! rycerz umiera..

Cały dramat rozwija się pośród bohaterskich walk i zapasów, rozgrywa się na tle owej szlachetnej rycerskości, kiedy mężowie „sans peur ni reproche" byli zwykłem zjawiskiem. Piękny wiersz dobrze wyraża siłę i uczucie poety, który stworzył dzieło rzetelnej wartości.

Może „Wiejski włóczęga" i „Cyrano de Bergerac" w Paryżu, a „Turniej" i „Almanzor" w Warszawie, zwiastują niby jaskółki wiosnę — powrót poezyi do teatralnych gmachów. Oby tak było! Aktorzy przypomną sobie, jak trzeba mówić wiersz na scenie, poeci chwycą znowu za pióro, i zachęceni uznaniem i wdzięcznością publiki stworzą dzieła piękne i silne. Poezya stanie się modną w teatrze i niezadługo może wszyscy będą głosić, że ze sceny tylko wierszem przemawiać można, jak to było ongi za czasów Molière'a i Rasyna. A choć i ta moda jak wszystkie, nie będzie wieczną, to jednak nie zostanie bezpłodną.

Przyniesie nam z pewnością nowe dzieła sceniczne szerokiego stylu, kto wie, może obudzi nowe talenty...

S. K.



ODKRYCIE.

Epizod z naszej epoki.

(Dokończenie.)

Nie dziwmyż się, jakkolwiek rzecz ta pozornie dziwną wydawaćby się mogła niejednemu, że już w dzień naznaczony na przyjazd ojca znajdujemy ją raz jeszcze w samotni starego Hermana. Od dwóch godzin jest ona tutaj, od dwóch godzin musi się między tem dwojgiem ludzi toczyć spór jakiś, bo młoda kobieta ma gorączkowe na twarzy wypieki, a oczy jej uporczywie śledzą ruchy starca, który chodzi nerwowo po pokoju, jakgdyby niepewny, niezdecydowany na spełnienie tego, czego od niego żądają.

— Nazywasz pani — mówi zatrzymując się nagle przed gościem swoim stary Herman — nazywasz pani to wszystko, co ci dotąd powiedziałem odnośnie do przedstawionego mi pisma, ogólnikiem. Jużciż naturalnem jest, że objaśnienie takie nie może wyjść do pewnego stopnia poza granice jakiegoś zarysu, jakiegoś konturu wewnętrznej istoty człowieka, ależ na miły Bóg, czego można żądać więcej w tej sprawie? Przecie ten, komu nieobcym jest mechanizm tak złożonej organizacyi duchowej jaką przedstawia człowiek, ten w tego rodzaju wskazówkach znaleźć powinien materyał dostateczny i podstawę do wnioskowań.

— Ha! pokazuje się, że są tacy, którym to nie starcza, a ja, przyznaję to, należę do ich liczby.

— Dlatego pewnie, że pani wnioskować nie chcesz, nie potrafisz, a może, i to jest podług mnie najprawdopodobniejszem, — może i nie śmiesz. Widzi pani, jestem otwarty — w tym stopniu otwarty, jak bywam w wyjątkowych tylko wypadkach. Przyszłaś pani dziś do mnie, i zarzekłszy mnie w imię względów, które są dla mnie prawem jedynem, jakie ja na świecie uznaję, żądałaś prawdy—dopominałaś się o szczerość. No, więc ja byłem szczery zupełnie, i powiedziałem prawdę — nie jakąś półprawdę, ale całą, bezwzględną — jedyną.

— Dlaczego nie miałabym śmieć? Wszak jestem tutaj? Jestem, pytam i proszę.

— Dla tego, że wogóle odpychamy do ostatniej granicy możebności, nietylko przypuszczenia ujemne, ale i prawdy niezbite, gdy te są dla nas niepomyślne, przykre, a cóż dopiero bolesne.

— A gdybyś pan raz jeszcze chciał mi dopomódz do uporządkowania tego w pewien ład, system, tak abym i ja przestała się błąkać...

— Spróbuję, ale z góry uprzedzam, że to panią niewiele nauczy, jeśli wogóle lękasz się być nauczoną. Będę chciał jednak być dostępniejszym niż dotąd. Dałem pani, po zbadaniu szczegółowem pisma takie rysy główne charakteru osoby, do której to pismo należy: wielka rozwaga i trafność sądu, wyjątkowy dar spostrzegawczy, stanowczość i determinacya w postanowieniu, prawie że zupełny niedostatek uczuć, bezgraniczne panowanie nad sobą. Wszak to wszystko powiedziałem pani?

— Tak jest, to wszystko słyszalam i pamiętam.

— I tego pani mało?

— Tak jest, z tego ja całości człowieka pańskiego złożyć sobie jeszcze nie mogę, zwłaszcza gdy ta całość przedstawia się panu tak szczególnie ujemnie.

— W takim razie pomyliłem się widać. Pani nietylko nie śmiesz, ale i nie potrafisz, a mnie to szczególnie zadziwia u osoby tego stopnia rozwoju umysłowego, co pani; chociaż z drugiej strony, kobiety z syntezą w psychologii wogóle radzą sobie źle. Odgadnąć potrafią często, ale dostarcz im tylko danych pozytywnych, połóż przed niemi kolumny całe cyfr, nigdy prawie nie zdołają ich pogrupować, nigdy nie będą wiedziały przed czem położyć znak + a przed czem —. Ich dodawanie i odejmowanie do niczego nie doprowadza, bo doprowadzić nie może. I z panią tutaj, wybacz mi szczerość moją, zupełnie tak samo. Najpierw nie bierzesz przedewszystkiem w rachunek tego, że człowiek musi być koniecznie sądzony na tle swojej epoki, swego otoczenia, a nadewszystko na tle tych warunków bytu, do których przykuły go losy. Ziarnu potrzeba gleby, pory roku i uprawy, a dusza ludzka miałaby niepodlegać wpływowi tych czynników. Niema podobnego rozdźwięku między światem materyi i ducha. Stworzenie to doskonałość — to harmonia! Trzeba tylko umieć patrzeć, a analogia tych dwóch światów ukaże nam się w całej pełni swojej, przy każdem ich ze sobą zestawieniu.

— A gdybym panu powiedziała, że jeszcze i teraz pana nie pojmuję.

— Wiem — nie potrzebujesz mi tego pani mówić. Mam jednak nadzieję, że za chwilę jaśniejszym będę dla pani. Posłuchaj tylko uważnie.

— Ten grunt, po którym stąpasz pani codziennie, to bujny grunt niesłychanie. Rodził on niegdyś wielkie charaktery, dawał wielkie cnoty i bohaterstwa bezprzykładne nieledwie. Grunt został ten sam, pierwiastki dusz ludzkich dotąd jeszcze unoszą się w atmosferze te co były ongi, ale czynniki wzrostu i rozwoju ich wcale nie te co były niegdyś. Bogatego nasienia moc tu nieprzebrana, ale z tem nasieniem, z tem ziarnem, duch czasu robi co jego wola, a wola jego wszechwładną jest niemal. Daj nasieniu dębu światło, przestrzeń, i otoczenie, a strzeli ci ku niebiosom i stworzy zczasem potęgę ku podziwowi oczu ludzkich; nagnij go od pierwszego roku, przytłumij rozrost, pokrzywi ci się w tysiączne węzły niekształtne, potworzy narośla i garby, od których odwrócisz się przechodząc, i zaledwie uwierzyć będziesz mogła, że ten karzeł, ta karykatura dębem być miała i w dąbolbrzym wyrosnąć mogła. To co powiedziałem dotąd, to wstęp tylko, ale wstęp konieczny dla pani, abyś nietylko zrozumiała to, co usłyszysz dalej, ale nadto, abyś uwierzyła, że inaczej jak jest być nie może. Na tym fundamencie oprzeć się musi u nas badanie charakterów. Chciej-że z łaski swojej być uważną.

Nie robię różnic między właściwościami duchowego ustroju, odziedziczonemi a urobionemi przez warunki i wpływy, bo mi to niepotrzebne do niczego — owszem, biorę człowieka takiego, jaki jest, jaki się urobił, dzięki wpływom. Powiedziałem pani wyraźnie: dana jednostka, dany osobnik, daje się streścić tak: bystrość umysłu niepospolita, stanowczość, determinacya, nieograniczone panowanie nad sobą. To wszystko uznałem, zaznaczyłem, podkreśliłem, ale na tem nie skończyłem bynajmniej. Pani przy tych wszystkich atrybutach pokładłaś sobie znak +, bo ich znaczenie jest istotnie dodatniem, i dla mnie byłoby także dodatniem, gdybym nie był obok nich umieścił jednej jeszcze cechy, która ma to do siebie, że wszystkie tamte znaki plusów przemienia odrazu w minusy niezaprzeczalne. Nie patrz pani tak zdziwionemi oczyma, bo to jest tak jak ja mówię. Powiedziałem przytem o zupełnym braku uczuć. Wszak prawda? No chciejże pani rozważyć, czem będzie tamto wszystko razem wzięte na tem tle — na tej podstawie — na tem pościelisku. Dary umysłu poszukać sobie tam musiały, jeszcze przed dojrzeniem, swojej drogi osobnej, stanowczość i determinacya dopomogły z pewnością tylko do odrzucenia względów i skrupułów, a wielkie panowanie nad sobą zamiast stworzyć znakomitego człowieka a może bohatera, poszło na usługi najniższego z instynków, mianowicie instynktu ukrycia przed okiem ludzkiem mroków własnego ducha.

Mnie ta całość rzuciła się do oczu odrazu, i dlatego z takiem wyjątkowem przejęciem wziąłem się do badania szczegółów. To badanie wykazało mi raz jeszcze doskonałość, że nie powiem — niepomylność metody — to badanie dało mi po podsumowaniu cyfr ten sam znak mniej, który wyćwiczone długoletnią pracą oko moje spostrzegło od pierwszego momentu.

— Posłuchajże mnie pan nawzajem. Ja długo mówić nie będę, ale to co powiem powinnoby może znaleźć u pana uwzględnienie pewne. Doskonałość rozumowania pańskiego oceniam, logice wywodów nie przeczę wcale, tembardziej gdy ich wynik ostateczny odpowiada, nie powiem moim własnym spostrzeżeniom, ale moim trwogom serdecznym i przeczuciom upornym, które mnie od dość dawna ścigają. Przyłączył się tu traf czy fatalizm, który mi rzucił w duszę ten cierń podejrzeń pod postacią pisma na szpaltach książki, a potem przyszło drugie niepojęte prawdziwie zrządzenie Opatrzności, sprowadzające mnie tutaj — mnie nieświadomą do pana, który mi wydajesz się posiadaczem tajników prawdy niezbadanej przez nikogo dotąd. Ja chcę uwierzyć w tę prawdę a ja dotąd, wybacz mi Pan, widzę tylko rezultat trafnego rozumowania, ale to jest rozumowanie jedynie, a tam u Pana musi być coś, czego nie wie reszta ludzi, coś takiego, czego tysiące szukały daremnie, a pan jeden znalazłeś tylko. Wszak jest coś takiego? powiedz mi pan.

— Jest.

— Zróbże pan tak, abym ja musiała uwierzyć, że to nie dar odgadywania, że to coś

wyższego, potężniejszego, że to... no, jednem słowem, że to wiedza...

— Wiedziałem, że to na tem skończyć się musi. Wszystkie moje zetknięcia się z ludźmi i wszystkie moje objaśnienia, jakie im dawałem zawsze kończyły się tem żądaniem: „Uwierzę, ale mi pokaż.” Nie powiem pani żebym się komukolwiek z żyjących do dna wyspowiadał z tem, co mi dały moje wielkie pragnienia, moje noce bezsenne i moje lata całe głodu, nędzy a zapomnienia, bo to było dla mnie niemożebnem. Byli tacy jednakże, którym uchyliłem tyle zasłony, aby się przekonali przynajmniej, że nie mistyfikatorowi, jakich jest tysiące, powierzyli swoją troskę, czy swoje cierpienia serdeczne. Pani jesteś ostatnią z takich, i pani powiem, a raczej pokażę nawet więcej niż innym. Reszta—po mo jej śmierci! Ot tu, patrzaj pani, w tych dwóch szafach, które ci otwieram, mieści się praca trzydziestu kilku lat życia jednego człowieka. Od takiego elementarza jak grafologia aż do spostrzeżeń hiromantów, od Galla i jego następców aż do wyniku pomiarów antropometrycznych naszych czasów, starałem się zużytkować wszystko, zanim się wziąłem do zbudowania gmachu z własnych spostrzeżeń. Szło mi zawsze o tę zagadkową całość, którą zwią człowiekiem, a przedewszystkiem o jednolitość i harmonię jej części składowych. Ta harmonia istnieje i przejawia się tak dobrze w fizyognomii twarzy, jak w intonacyi głosu, jak w objawach wszelkich i zanotuj to sobie pani, we wszelkich funkcyach życia codziennego. Umysł oschły, wyrachowany, pozytywny, nie będzie prowadził człowieka temi drogami, któremi kroczą charaktery szczere, entuzyastyczne, wylane. Człowiek czysty, bezinteresowny, szlachetny, nie tak mówi, nie tak się śmieje, nie tak się bawi, nie tak pracuje i pisze jak brudas jakiś, szachraj pospolity, jak nizkie jakieś indywiduum jednem słowem. Z tych pojedynczych części składowych urabia tedy życie całość człowieka, ale idzie o to że i te składniki pasować muszą do siebie ilościowo i jakościowo, a jedne się będą dopełniać wzajemnie, inne wzajemnie wykluczać, a inne jeszcze zmusza prawo harmonii do ustępstw wzajemnych. Otóż pochwycenie tego kwantitatiwnego stosunku, możebność rozczłonkowania całości na cząstki, a co ważniejsza odbudowanie z jednego składnika czy z jednej funkcyi owej całości—oto założenie, jakie sobie zrobiłem ja. Nie mogę powiedzieć, abym dokonał wszystkiego, ale nie wolno mi też mówić, że życie moje było bezpłodnem. Wierzaj mi pani — w każdym razie, o tem co mieszczą te dwie szafy dłużej ludzie mówić będą niż o dowcipnym wywodzie Cuviera.

A teraz przystąpmy do rzeczy:

Zacznę od najogólniej pojętego szkicu — od wyrazu — od tego, co z rysów człowieka najpierw spostrzegacza uderzyć może.

To mówiąc usiadł przy drugim stole, przymknął oczy, i po jakichś paru minutach wielkiego skupienia się w sobie, pochwycił ołówek i nakreślił kilka linii, których znaczenia zdawała się nie odgadywać wcale młoda kobieta. Przyznać należy nawet, że zaciekawienie jej w tej chwili ustąpiło zamyśleniu jakiemuś, może nieufności — może zniechęceniu. Trudno wreszcie pochwycić ten proces wrażeń, z których jedno ruguje drugie, aby następnie ustąpić miejsca innemu jeszcze, równie jak tamto niespodzianemu. Za to przyznać możemy, że przebudzenie się jej do świadomości, że przywołanie samo miało siłę uderzenia potężnego prądu elektrycznego.

— Czy dalekim jestem od prawdy? — zapytał nagle stary Herman, rzucając przed nią mały arkusz bristolu, na którym umiejętną ręką naszkicowany był profil męzki rzutami grubymi kreślony, ale tak pewny, tak śmiały i zdecydowany, jakgdyby był odbiciem długo w pamięci przechowywanych rysów twarzy. Wpatrzyła się w te kilka linii ołówka, następnie zwróciła oczy zdumione na starca, potem znowu na ten papier tajemniczy, ale żaden dźwięk mowy, ani żaden nawet gest potakujący, ani zaprzeczenie żadne z ust jej nie wyszło. On ją zapytał raz jeszcze, ale nie odbierając odpowiedzi, przeniósł arkusz papieru na stalugi i nie zwracając już na nią uwagi, tak jak gdyby jej w tem pokoju wcale nie było, monologował dalej, każde swoich kilka lub kilkanaście słów uzupełniając dodaniem kilku linii na tym szkicu, który tym sposobem wykończał z biegłością prawdziwego mistrza.

— Oto cecha wybitna tej stanowczości, w rozwinięciu szczęki dolnej, która w danym wypadku inaczej jak taką właśnie krzywizną charakterystyczną odznaczać się nie może.

— Odpowiadać też musi zaciśnięcie kątów ust i wykrój warg, a nadewszystko znamienna różnica między wargą spodnią a wierzchnią.

— Tak jest; inaczej być nie może. Wystudyować inny zarys ust przez długą a mozolną kulturę, możnaby, ale to nie będzie natura... natura—stosunek, to jest to właśnie...

— Nos pozostawimy takim jakim jest, tembardziej, że mieści się już w nim i charakter jego nietylko ewentualnej, ale nadzwyczaj prawdopodobnej, ruchliwości. W tym nosie nie mam nic do poprawienia, i za niego może poręczyłbym najsilniej.

— Oprawa oka wynika tu sama z siebie, ale wyrazu oka nie podejmuję się oddać dopóki nie będę miał całości. Ach tak! potrzeba mi wprzód tamtego... koniecznie... koniecznie.

Za to, ucho można śmiało i bezpiecznie narysować całe, to ładne ucho, naturalnie z punktu widzenia sztuki, ucho typowe... nieocenione. Możnaby o niem ze dwa tomy napisać.

— A teraz kopuła na tej budowie. Tak, to jest kopuła—siedlisko myśli, świadectwo wnętrza najniezawodniejsze z niezawodnych... O mądrości ludów! — mówił szeptem do siebie, ty nic darmo nie tworzysz i wszystko najlepiej nazywasz—i tego też terminu: czoło bezwstydne nie stworzyłeś także napróżno...

A, więc jest i całość!.. całość tego, mówiąc językiem salonów, ładnego chłopca, a gdyby przyszło wyrazić dno mego przekonania — tego...

Tu urwał nagle, bo znowu opamiętał się, że jest słuchanym przez kogoś interesowanego, a natomiast pragnąc zapytać się raz jeszcze: „Jakże myślisz pani?” odwrócił się szybko, ale szybciej jeszcze skoczył po stojącą w pobliżu karafkę z wodą, i bryznął nią na twarz młodej kobiety, która zdradzała nietylko brak zupełny świadomości, ale i zimną nieruchomość marmuru.

Wrażenie okazało się widać zbyt silnem.

W kilka miesięcy później znajdujemy pannę Julię w godzinie obiadowej w tym samym, co przy pierwszem poznaniu się z nią, pokoju stołowym obok ojca. Obiad kończy się, a przychodzi pora na pogawędkę swobodną, którą prowadzić zwykł doktór dla dygestyi przez jakieś parę kwadransów! Obfitego do niej materyału dostarczają mu zwykle przedpołudniowe wizyty lekarskie i nowinki ze świata poważniejszej barwy. Dzisiaj bardziej jakoś zamyślony jest dr. L. Ma coś do powiedzenia, a widać waha się, czy ma powiedzieć czy zatrzymać przy sobie. W końcu rusza ramionami i zwraca się do córki:

— Wezwali mnie też dzisiaj młodzi lekarze do szpitala, aby zasięgnąć mego zdania w dosyć skomplikowanym przypadku, ale mniejsza o niego. O parę łóżek był tam inny chory, a właściwie mówiąc nie chory, ale dogorywający. Widać powiedziano mu moje nazwisko. bo prosił, abym do niego podszedł. Głowa Seneki, czy Hoene-Wrońskiego — bardzo, bardzo charakterystyczna głowa. Mówiono mi nazwisko: Borman, Herman — niepamiętam...

— Co chciał — co mówił?.. — zawołała z okrzykiem niepokoju i płomieniem wzruszenia na twarzy p. Julia.

— Właściwie nic — prosił cię o modlitwę za jego duszę.

— I nic więcej?

— Dla ciebie nic. Mówiono mi tam w szpitalu o jakiejś tragicznej historyi—jakiemś pod nieobecność jego w domu spłonięciu papierów, do których przywiązywał wielką wagę. Potem miał niby wpaść starzec w melancholią, no, a teraz, to taki zwyczajny już marasm starczy. Ot i wszystko.

Panna Julia wstała szybko od stołu zaledwie pożegnawszy ojca, a w godzinę potem była już w szpitalu. Przyszła jednak o parę godzin zapóźno. Starzec nieżył. Była i na Starem Mieście, a tam potwierdzono jej historyą o spalonych przypadkiem rękopisach. Jedyną tedy pamiątką jaka jej pozostała po tym cieniu, który się przemknął przez jej życie niby meteor potężny, była ta głowa młodego człowieka szczerze niegdyś przez nią kochanego, ale ktoby tam z ludzi uwierzył w okoliczności powstania tego rysunku, czy tego portretu?

Ona uwierzyła, bo musiała uwierzyć.

A. S.



KRONIKA.

Zapisy filantropijne.

W dniu 26 Stycznia r. b. przystąpił Sąd Okręgowy do otwarcia testamentu ś. p. Jerzego Popowicza, obywatela i kupca naszego miasta, zmarłego pod datą 18 Stycznia. Testament obejmuje zapisy: Gminie ewangelickiej w Warszawie na utrzymanie grobów rodzinnych rs. 1,000—na schronienie paralityków rs. 1,500—na instytut głuchoniemych i ociemniałych rs. 1,500 — na Przytulisko rs. 1,500 — na nabożeństwa przed cudownym obrazem Matki Najświętszej w kościele Jasnogórskim rs. 1,500 — dla kupców podupadłych i pozostałych po nich wdów (wyznania chrześcijańskiego) rs. 5,000 — na przytułek chorych nieuleczalnych pod wezwaniem św. Stanisława Kostki 2,000 rs. Z wyjątkiem zapisu dla gminy ewangelickiej, który wypłacony będzie w miesiąc po śmierci, resztę legatów dobroczynnych obciąża dożywocie pozostałej po ofiarodawcy wdowy. Są jeszcze inne dary drobniejsze, jak dla ubogich wstydzących się żebrać, dla niezamożnych wdów obarczonych dziećmi i t. p. Ogółem mieści rozporządzenie pośmiertne summę 15,000 rs. z górą.

W tych dniach Rada miejska dobroczynności publicznej uchwaliła przyjęcie zapisu ś. p. Henryka Krajewskiego. O szczegółach tego zapisu wynoszącego ogółem kwotę 65,000 rs. donosiliśmy w swoim czasie czytelnikom.

Oznaki czasu.

Niejednokrotnie mieliśmy sposobność zwracać uwagę czytelników na szerzenie się zamiłowań do wszelkiego rodzaju sportów, zaznaczając przytem dobitnie, że upodobań podobnych trudno jest pogodzić z wyższą dojrzałością społeczeństw dzisiejszych—tą dojrzałością, o której się przy każdej sposobności tyle mówi i pisze. Uwzględnianie fizycznego rozwoju pokoleń młodych i konserwowanie zdrowia ludzi w wieku dojrzałym, które nam zawsze przytaczano jako usprawiedliwienie manij sportowych, nigdy nas nie przekonywało, bo pomiędzy wymaganiami hygieny, nakazującej jaknajsłuszniej zwracanie uwagi na potrzeby ciała, a organizowaniem sportowych instytucyi, z największą pewnością wspólności nie ma żadnej. Głęboko przekonani zawsze, że stowarzyszanie się w imię tych dziwactw, wyklucza przyjmowanie udziału w wyższych zagadnieniach życia—że obniża ono aspiracye ludzkie i odwodzi myśl od tego wszystkiego, co ma związek z rozwojem i doskonaleniem się człowieka. Przedstawialiśmy wytrwale stronę szkodliwą tej mody tak niepożądanej na naszym gruncie, pomimo rozmaitych niedołężnych zaczepek przeciwko pismu naszemu ze strony organów tutejszego sportu, na które ruszywszy ramionami nie odpowiadaliśmy nigdy.

Głosy jednakże takie jak nasz nie są pojedyncze bynajmniej—owszem, w miarę szerzenia się następstw, zwraca myślący ogół uwagę na tego pasożyta rozrosłego pod koniec stulecia, i oto przykład, jaki nam podaje w swoim 21 nr. „Słowo," przytaczając objawy opinii, budzącej się w Anglii pod tym względem. „Słowo" cytuje uwagi angielskiego tygodnika „Nation" uskarżającego się na szczególną w naszej epoce obojętność Anglików dla polityki. W artykule omawiającym tę kwestyę dziwi się p. Barth, że w kraju par excellence parlamentarnym, jakim jest Anglia, tak dalece oddali się ludzie sportowi, że nie mają już zmysłu ani dla spraw państwowych, dla kwestyi dyplomatycznych, ani nawet dla zbrojnych międzynarodowych zatargów. Dobitnie świadczą o tem, zdaniem tego publicysty, sprawozdania doroczne, składane akcyonaryuszom najpoczytniejszego z półpensowych pism w Londynie „Ewening News." W roku ubiegłym pismo to udzieliło swym akcyonaryuszom 25,000 ft. szterlingów dywidendy, jest bowiem niesłychanie ruchliwem i przedsiębiorczem. Podczas wojny grecko-tureckiej wyprawił „Ewening-News" sześciu korespondentów na plac boju i o wypadkach pod Dumiko i Larissą uwiadomił czytelników swoich wcześniej niż „Times" i „Standart." Te jednakże starania redakcyi przyjęte zostały przez abonentów zupełnie obojętnie, bo jak się pokazało wojna grecko turecka nie obchodziła ich wcale. Sprzedaż uliczna dziennika nie wzmogła się w tym czasie tak samo, jak nie wzmogła się podczas wyprawy Sudańskiej. Kiedy jednak pomieszczać zaczęło pismo sprawozdanie o anglo-australskim „Cricket-Match" rozgrywającym się w Australii, dziennik zaczął być rozchwytywanym jak nigdy przedtem, a i wszystkie wogóle pisma poświęcały olbrzymie koszta, aby módz co rano i wieczór uwiadamiać swoich czytelników o przebiegu tej pierwszorzędnej według nich dla ludzkości sprawy.

Nie może być inaczej. Stajnia, crickętowe i lawn-tennisowe deptaki, sale atletycznych zapasów i budy dla błazeństw cyrkowych, nie są akademiami, i prędzej lub później muszą prowadzić do zwyrodnienia uczuć podnioślejszych u adeptów swoich. Jeśli i nam pilno w tę drogę, to się spieszmy, a nie traćmy czasu.

Moda.

Ile razy błyśnie ta kapryśna pani jakim pomysłem godnym uznania, tyle razy śpieszymy z całą skwapliwością ogłosić o tem miastu i światu, to znaczy, w granicach naszej możności, czytelnikom warszawskim i prowincyonalnym „Tygodnika." Tym razem, przyznać wypada, reforma godna jest wielkiej cywilizacyi z pewnemi wszakże zastrzeżeniami, których na końcu zrobić nieomieszkamy. Idzie ni mniej ni więcej tylko o wyrugowanie kolczyków, brosz, naszyjników, kolij, bransolet, riwier, portebonheurów, pierścionków i innych tym podobnych ozdób złotych, w których kobieta wyższego umysłu zawsze się czuła i dotąd czuje nieswoją. Cokolwiekbądź chcieliby w obronie tego sposobu podnoszenia niewieściego wdzięku mówić zwolennicy jego, między którymi zawsze jubilerów postawić wypadnie w pierwszym rzędzie, sam obyczaj, moda i maniera zdradza pochodzenie azyatyckie, i przywodzi na pamięć atmosferę haremową. Kobieta podniesiona przez cywilizacyę, a jak dzisiaj udoskonalona przez naukę, winna przecież mieć inne, wyższe, a nadewszystko trwalsze i szlachetniejsze powaby, inne upodobania i środki wyróżnienia się, jeśliby już koniecznie o nie chodziło. Tym razem postanowiono podobno w areopagu tajemniczym, z którego na świat niewieści spadają wszystkie tego rodzaju wskazania, że od noszenia ozdób, wolnemi być mają tylko panny — co będzie dalej—zobaczymy. A jednakże złośliwy jakiś szatan szepcze nam uporczywie do ucha, że to chyba ze sfer poważniejszych już niewiast wyszła ta insynuacya, w przekonaniu, iż młodość sama przez się dosyć jest zbrojna i dosyć niezwyciężona, aby wydzierać ostatni oręż tym, które się już liczyć muszą z pewnemi spustoszeniami nieubłaganego czasu. Przepraszamy pokornie za to posądzenie dojrzalej sfery niewieściego świata, ale to jest takie jakieś proste i naturalne, że niejednemu kronikarzowi tylko na myśl przyjść mogło, i chyba wtedy uwierzyć przyjdzie w doniosłość reformy, kiedy i starsze kobiety w ślad za młodemi zupełnie zarzucą swoje błyskotki i świecidła. Jeśli to wogóle ma być niegodnem kobiety, to przedewszystkiem kobiety poważnej, bo tej lekkomyślnej młodości, jak wiemy, niejedno darować należy. Czekamy więc na to aż reforma obejmie wszelką dojrzałość niewieścią narówni z wiekiem młodym, a wtedy dopiero ucieszymy się naprawdę, bo wówczas okaże się, że założenie było poważne i szczere.

W teatrze.

Zapewne idąc za przykładem zagranicy zwraca się dyrekcya teatrów rządowych w Warszawie z prośbą do pań o zdejmowanie podczas widowiska kapeluszy, które dzięki panującej modzie zajmują nielada jaką przestrzeń, i nieladajaką też stanowią przeszkodę dla siedzących z tyłu, a pragnących oprócz wystawy konfekcyi modystek widzieć także i coś niecoś z tego, co się dzieje na scenie. Na początek dyrekcya objawia żądanie swoje w formie prośby — co będzie dalej, t. j. wówczas, gdy bądź z braku dobrej woli, bądź dla niemożności istotnej, zbiorowość będzie się ociągała z zadosyćuczynieniem tej prośbie—niewiadomo. A przebąkują kuryerki—jedyne w sprawach takich powagi, że istotnie zachodzą pewne trudności pod względem umieszczania tych kosztownych kapitelów, które na ich naturalnych podstawach zatrzymane nadal być nie mogą, i tak: na kolanach ani sposób, bo co zrobią z takim kapeluszem przechodzący ustawicznie w krzesłach sąsiedzi; pozostawienie w kontramarkarni grozi także zniszczeniem, więc chyba jakieś schowania osobne, ale w takim razie znowu, wiele czasu zajmie w teatrze rozebranie się przed widowiskiem i ubranie po widowisku?

Nowe książki

NADESŁANE REDAKCYI „TYGODNIKA."

Biblioteka dzieł wyborowych nr. 13 i 14.
Zakopane skarby, p. Jana Zacharyasiewicza.
Czarna Perełka, B. Bolesławity.

Nakładem firmy Gebethner i Wolff:
Illustrowane Album Jubileuszowe H. Sienkiewicza.
Samouczek, Metoda polsko-francuzka Plato-v. Reussnera, zeszyt od X do XIII.

Nakładem firmy T. Paprocki:
Mężczyzna i kobieta, Havelock Ellis, przełożył z ang. Felix Wermiński.

Encyklopedya Powszechna Orgelbranda zeszyt XII, XIII i XIV.

Encyklopedya illustrowana wiadomości pożytecznych. zeszyt 25.

Odpowiedzi od Redakcyi.

W-na Aloi. Rusz. w Mil. Zwracamy uwagę Pani, że zarzut Jej jest niesłusznym. Gdyby Sz. Pani zechciała policzyć wiersze w 2 kolumnach środkowych „Tygodnika," tych mianowicie, które zajmuje obecnie powieść „Jan Marya Plojhar," łatwo byłoby się przekonać, że odpowiadają one zupełnie ilości wierszy, jaką zawierał dawny dodatek. Wychodzi ta trzecia powieść dlatego w formie arkusza, że nie może wychodzić inaczej.

☞ Do numeru dzisiejszego dołącza się dodatek z modami i arkusz z krojami.

Bracka 13. Meble bambusowe „MAISON NIPON" Najtańsze i najładniejsze. Bracka 13.

MAGAZYN BŁAWATNY

J. GRUCZYŃSKIEGO I SKI

Krakowskie-Przedmieście Nr. 7.

Na sezon karnawałowy poleca:

Wielki wybór Wełn jasnych, Muślinów, Tiuli i Jedwabi, od skromnych do najstrojniejszych Adamaszków. „Gaze Liberty" na suknie plisowane.

583-30-26

Od 1 listopada 1897 roku wychodzi w Warszawie

„Przegląd Filozoficzny"

PISMO MAJĄCE NA CELU:

1) Dać ogółowi intelligentnemu poważną lekturę, oraz zawiadamiać go o ruchu filozoficzno naukowym w kraju i zagranicą.

2) Zachęcić młode siły do badań filozoficzno-naukowych.

3) Zachęcić specjalistów do uwzględniania zasadniczych teoretycznych podstaw ich specyalności.

4) Przyczynić się do skupienia sił naukowych.

Treść pisma stanowić będą:

Artykuły oryginalne z psychologii, teoryi poznania, logiki, metodologii, etyki, estetyki: socyologii, historyi filozofii, oraz ze wszystkich nauk specyalnych, o ile w nich będzie się ujawniał pierwiastek filozoficzny.

Jednym z głównych zadań „Przeglądu Filozoficznego" będzie roztrząsanie kwestyi, wywołanych życiem praktycznem, o ile te kwestye znajdą się w ściślejszym związku z zagadnieniami filozofii.

Dział sprawozdawczy będzie obejmował cały ruch filozoficzno naukowy z wyżej wymienionych dziedzin umysłowości ludzkiej i zawierał: ***Krytykę i Sprawozdania rzeczowe, Przegląd czasopism, Wiadomości bieżące, Notatki filozoficzne, Bibliografię.***

W najbliższych numerach zamierzamy umieścić rozprawy następujące:

Edward Abramowski: „Dwulicowy charakter spostrzeżeń."
Karol Appel: „Błędy w mowie i piśmie, jako przedmiot badania psychologicznego."
Dr. Władysław Biegański: „Myślenie logiczne a kojarzenie wyobrażeń."
Prof. Dr. Piotr Chmielowski: „Adam Mickiewicz jako filozof."
Samuel Dickstein: „Korespondencya Kochańskiego z Leibnitzem."
Prof. Dr. Ludwik Gumplowicz: „Ibn Kaldun, socyolog arabski z XIV wieku"
Napoleon Hirszband: „Ewolucya wrażliwości estetycznej."
„Kult siły ducha jako podstawa etyki."
Zygmunt Heryng: „Ruch i jego atrybuty."
Władysław M. Kozłowski: „Próba wykrycia i wykazania pierwiastków aprioricznych w zasadniczych prawach przyrody, dotyczących materyi nieorganicznych."
Adam Mahrburg: „Co to jest nauka."
„Filozofia przeczenia (negacyi)."
Dr. Leon Marchlewski: „Postępy syntezy chemicznej i jej dążenia."
„Poparcie teoryi ewolucyi Darwina przez eksperyment chemiczny."
Dr. Maryan Massonius: „Racyonalizm w teoryi poznania Kanta."
Dr. Julian Ochorowicz: „Stosunek psychologii do medycyny."
Józef K. Potocki: „O terminologii psychologicznej."
Zenon Przesmycki: „Estetyka Hoene-Wrońskiego."
„Nowe próby i metody w dziedzinie estetyki."
Dr. Rafał Radziwiłłowicz: „Znaczenie komórki nerwowej."
Prof Dr. Ludwik Stein: „Podstawy filozofii społecznej."
Prof. Dr. Kazimierz Twardowski: „Z dziedziny teoryi indukcyi."
Feliks Wermiński: „Dzisiejszy stan teoryi Darwina."
Władysław Weryho: „Materyalistyczne pojmowanie dziejów."
„Karol Marx jako filozof."

Oprócz wyżej wymienionych przyrzekli już swoje współpracownictwo: *Prof. Dr. Jan Baudouin de Courtenay, Jan Władysław Dawid, Dr. Konstanty Górski, Władysław Gosiewski, Dr. Władysław Heinrich, Prof. Dr. Henryk Hoyer, Dr. Bolesław Epstein, Dr. Maksymilian Flaum, Dr. Jan Karłowicz, Stanisław Karpowicz, Prof. Dr. Józef Kowalski, Tadeusz Korzon, Władysław Kozłowski* (ze Lwowa), *Stanisław Kramsztyk, Antoni Krasnowolski, Ludwik Krzywicki, Floryan Łagowski, Jan Lorentowicz. Prof. Dr. Władysław Natanson, Prof. Dr. Teodor Masaryk, Dr. Władysław Olechnowicz, Dr. Władysław Ołtuszewski, Salomon Posner, Ludwik Przysiecki, Prof. Dr. Henryk Struve, Dr. Aleksander Świętochowski, Dr. Antoni Złotnicki.*

„Przegląd Filozoficzny" wychodzić będzie co kwartał, obejmując 8 do 10 arkuszy druku.

Prenumerata „Przeglądu Filozoficznego" wynosi: w Warszawie rocznie rs. 4, półrocznie rs. 2
z przesyłką „ „ 5, „ „ 2.50

Prenumeratorzy roczni otrzymają jako dodatek bezpłatny dwa odczyty Emila du Bois Reymond'a p. t. „O granicach poznania natury" i „Siedem zagadek wszechświatowych" w tłómaczeniu ze wstępem Dr. Maryana Massoniusa.

Redaktor i wydawca Dr. Władysław Weryho, Warszawa, Krucza 26.

451—?—

Przyjaciel Dzieci

PISMO TYGODNIOWE ILLUSTROWANE

NAUCE i ROZRYWCE MŁODZIEŻY POŚWIĘCONE.

(Najstarsze w kraju).

W części literackiej zawiera: opowiadania historyczne i z podróży, powieści, wiersze, komedyjki, pogadanki naukowe, zadania różne, rebusy i t. p. Wszystko to w formie odpowiedniej dla umysłów młodocianych.

Część illustracyjna bogata i bardzo starannie opracowana.

Prenumerata wynosi: w Warszawie kwartalnie rs. **1**, rocznie rs. **4**. Na prowincyi kwartalnie rs. **1** k. **25**, rocznie rs. **5**.

REDAKTOR I WYDAWCA

Jan Skiwski

Warszawa, Chmielna 26.

Fabryka Pończoch i Trykotaży

Z. MENTZEL

9. Ś-to Krzyzka 9.

Poleca własne wyroby w najlepszych gatunkach na sezon obecny.

Wybór wielki. — Ceny bardzo nizkie:

588—20—17



W.W. Paniom poleca się

nagrodzony na wystawie pracy kobiet

PATENTOWANY SZYNDLERA

BIUSTHALTER

Senatorska N. 26.

776B—20 6

ZAKŁAD GALWANICZNY L. Kardaszyńskiego

ulica Czysta Nr. 8 w Warszawie.

Przyjmuje do reperacyi i odnawiania wszelkie wyroby **z różnych metali** po możliwie **nizkich cenach.** Stołowa robota z 2-letnią piśmienną gwarancyą. 760—25—9



Pierwszorzędna Szkoła Kroju i Szycia

w Warszawie, Nowo-Senatorska № 2,

K. GŁODZIŃSKIEGO,

wykwalifikowanego nauczyciela specyalisty, który szkoły swoje postawił tak, iż równać się z niemi mogą jedynie pierwszorzędne instytucye zagraniczne; pod względem praktyczności i nowości w wykładach nauki K. G. opracował i wydał w językach polskim i ruskim **Automat czyli metodę poglądową** do momentalnego wykrawania i pasowania form różnych fasonów bez pomocy nauki. Ostatnie wydania: najnowsza uproszczona metoda kroju w jęz. polskim i rus. na nowo opracowana, zawiera wzory sukien. wszelkich paltotów i okryć **ostatniej mody paryskiej,** podług których skrojone fasony leżą znakomicie; podręczniki te pod względem uproszczonej nauki i nowości wyprzedziły wszystkie inne dotychczasowe. W szkołach **K. G.** ukończyło naukę kobiet i mężczyzn przeszło 10,000 osób i prowadzą pracownie i szkoły kroju w Warszawie, Cesarstwie i za granicą. Na kursy i półkursy, to jest wyższe i niższe, uczennice przyjmuje się codziennie. **Po ukończonej nauce otrzymują patenty cechowe. K. Głodziński,** nagrodzony **medalami** złotemi i srebrnemi za wzorową naukę i najlepsze podręczniki.

805—3—

Дозволено Цензурою. Варшава, 21 Января 1898 г. Warszawa, Druk Emila Skiwskiego. Redaktor i Wydawca **Jan Skiwski.** **DODATEK.**

7022б'о

Juliusz Zeyer.

JAN MARYA PLOJHAR.

PRZEŁOŻYŁ

MIRIAM.

(Ciąg dalszy).

— O czemże to ja myślę?—zachwiała się— o samobójstwie? Osłoń mnie, Boże! — I wybiegła z pokoju. Bała się myśli swych.

Ale ten jego wykrzyk: — Caterino, umrzyj ze mną!—wrył jej się był w duszę, i nie mogła go już tam wygładzić.

Luigi Galli częściej znowu teraz przyjeżdżał, i Caterina zauważyła ze zdziwieniem, że Jan Marya, który dawniej tak radośnie był go zawsze witał, chmurniał teraz, ilekroć go zobaczył, a raz gdy młody doktór z żywością opowiadał, jak usilnie pracuje, jaki jest zajęty, z jakim zapałem powołaniu swemu się oddaje, strzelił z oczu chorego dziki błysk nienawiści. Luigi Galli nie spostrzegł tego, patrzał był właśnie na Caterinę, dla której prawdziwie braterskie żywił przywiązanie, i której kobiecą nieledwie okazywał tkliwość.

Dziewczę pochwyciło ten błysk nienawiści, który wytrysł z oczu ukochanego, i uczuło palący ból i wielkie zdumienie.

Gdy Giggi odszedł, spytała Jana Maryę, czem go Giggi uraził, i co mogło być przyczyną tak nagłej względem doktora nieprzyjaźni.

Chory spochmurniał jeszcze bardziej, pobladł i rzekł krótko:—Nie mów mi o nim.—I odwrócił się.

Caterina potrząsła smutnie głową, nie mogła sobie tego wyobrazić, co w nim wrzało; była to zawiść umierającego ku mężowi kipiącemu zdrowiem—zawiść człowieka wyrzucającego sobie, że życie zmarnował, bezużytecznie przemarzył, ku człowiekowi, który miał piękne powołanie, i oddawał mu się wszystkiemi ciała i duszy siłami. Było w tem jeszcze coś więcej: Jana Maryę poczęła dręczyć zazdrość.

Tego wszystkiego nie mogło, naturalnie, dziewczę przeczuć, ale nadszedł dzień, że ujawniło się to z całą oczywistością, bo Jan Marya sam to wyznał.

Było tak słonecznie, ciepło pewnego rana w tej bezbrzeżnej Kampanii, że Jan Marya, który dawno już nie czuł się tak silnym i zdrowym, jak tego dnia właśnie, nie chciał poprzestać na ogrodzie, ani nawet na najbliższej domu okolicy. Zaproponował małą przechadzkę, a Caterina chętnie się zgodziła. Wzięła parasolkę i robótkę swoją, a Francesco niósł im pledy. Szli bardzo powoli z pół godziny może i znaleźli rozkoszne miejsce na małym wzgórku, uwieńczonym rozłożystą koroną starego dzikiego figowca. Francesco rozpostarł pledy na ziemi, i usiedli oboje. Patrzyli milcząc dokoła, oboje niezwykle spokojni, oboje cichem szczęściem i mimowolną nieokreśloną nadzieją przejęci oboje, pod wpływem potężnego, rozmarzającego czaru natury.

Wysoka trawa falowała jak przypływ morski w nieprzejrzanej Kampanii, aż ku piętrzącym się w dali górom, takim lazurowo modrym i taką poetyczną budzącym tęsknotę, że chciało się zalecieć ku nim i zbadać, co za nieodpartą w łonie swem ukrywają magię, która im taką z baśni, zda się, wziętą powierzchowność nadaje i tak tajemniczo przynęca.

W zielonem, falującem morzu traw widniały gęsto wielkie wyspy, ciemne a wonne. Były to ogromne kępy niepoliczonych fiołków, które prawdziwymi obłokami bijącej w niebo woni zmieniały cały kraj w olbrzymią, czarem najsłodszej poezyi dymiącą kadzielnicę. I te skały w pobliżu, wyglądające jak zburzona świątynia, szare, zwietrzałe, całe fiołkami ugwiaździone były. Kampania wydawała się odą wiecznie zwycięzkiego nad śmiercią żywota.

Niedaleko pod nimi kroczyło pomału stado białych wołów, a poganiacz na koniu, z długą dzidą w ręku, pozdrowił ich wesoło i dźwięczną pieśń zanucił. Jedyne słowo, jakie z jego śpiewu zrozumieli, jedyne, jakie wiatr w pełnym dźwięku do nich przywiał, było: „miłość.“

Uśmiechali się do siebie i milczeli. Było im tak słodko, i nie potrzebowaii nic do siebie mówić.

W tyle za nimi ozwał się teraz inny znowu śpiew; stary pasterz siedział na sąsiednim kopcu między szarymi głazami, owce jego pasły się spokojnie, strzeżone przez psa; starzec robił na drewnianych iglicach niebieską, wielką pończochę i pośpiewywał sobie przytem nosowym, jęczącym, śmiesznym głosem kawałki jakiegoś, spłowiałego od starości madrygału. A jedyne słowo, które jasny dźwięk do nich donosił, było znow: „miłość.“ Widocznie młode ich postacie przywiodły na myśl temu pasterzowi rój dawnych, wygasłych wspomnień; odgadli to — i przestał im wydawać się śmiesznym. Oddziaływało to na nich marząco, elegijnie.

Jan Marya zerwał kwiat i zapatrzył się nań.

— Rzecz dziwna—rzekł—iż nikt jeszcze do dna nie zgłębił, czem właściwie jest miłość, acz każdy o tem marzy, mówi, a wielu i przemyśla. Ten oto kwiat czuje ją w swój sposób, równie jak my, owo stado pasące się tam pod kopcem zna ją bezwiednie, a, myślę, że i ten tu kamień głucho ją przeczuwa, bo czemże innem byłaby krystalizacya, ten żywot, ten ruch, ten wykwit tak zwanej martwej materyi, jeśli nie jakiemś podobieństwem miłości? A czyż myślisz, Caterino, że słońce i gwiazdy nie kochają? Rządzi niemi podobno ciężkość i przyciąganie. Jakaż niejasna to definicya, jakież od biedy wynalezione słowa, które właściwie nic nie objaśniają! Czemże innem są owe siły, jeśli nie tęsknotą, a czemże, jeśli nie tęsknotą, jest miłość? Tęsknota! I to znowu wieczna dla nas zagadka!

Caterina zamyśliła się.

— Czemu myślisz—odpowiedziała po chwili—iż zagadka to *wieczna*? Sądzę, że ani nam ludziom, ani innym tworom, nic wiecznie nie zostanie zagadką. A ponieważ dla miłości, tej największej z zagadek, nie mamy tu rozwiązania, zdaje mi się, że jest to jeden z najpoważniejszych dowodów naszej nieśmiertelności. Owo rozwiązanie znajdziemy tam, dokąd wszyscy zmierzamy.

Zlękła się ostatnich swych słów—mimowoli była je wymówiła; spoglądała trwożnie na Jana Maryę, czy nie zbudziła niebacznie jego ukrytej obawy śmierci.

Nie zdawało się. Patrzał zamyślony w górę ku niebu i czuł tylko poniekąd ów zawrót, który mu zawsze, jeszcze za czasów chłopięcych, sprawiały pojęcia wieczności i nieskończoności przestrzennej, ilekroć rozmyślanie o nich przywiodło go ku owej granicy wyobrażeń, której żadne myślenie przekroczyć nie zdoła. Słyszał był dobrze jej słowa, drgnął nieznacznie, ale słodycz i szczęście tego oka mgnienia były zbyt silne, uskrzydlały zbytnio jego mimowolną życia nadzieję. Czuł się tak przesiąknięty słońcem, że nie mógł sobie wyobrazić ciemności.

— Wieczność—rzekł po chwili.—Nieśmiertelność.—I potrząsał głową, jakby odganiając te pojęcia od siebie. A uśmiech jego mówił:—Pijmy słońce i światło!

— Ty w nią nie wierzysz? — spytała cicho z niemem współczuciem i pochyliła się ku niemu.

— Wierzę i nie wierzę — odpowiedział pomału i marząco, jakby mu słowa zkądciś — z daleka na język przychodziły.—Myślę, że będę istniał dalej w jakiś sposób, gdy nie będzie mnie już tu jako owego ja, które teraz z tobą mówi, które cię kocha... Ale cóż to za istnienie, skoro spłynę z czemś mi nieznanem, skoro, istniejąc tak, nie będę jednak jako ja istniał! Nie ja! Ach, straszna to myśl! Lub przynajmniej niewesoła. Ja—nie ja, i ty—nie ty! Jeżeli, zlawszy się z czemś nieznanem, zniknę jako ja, ty zlejesz się znowu z czemś innem, co nie będzie ani tobą, ani mną — czyż możesz sobie to wyobrazić jako związek?

Położyła mu przejrzystę swą rękę na czole i pochyliła się ku niemu jeszcze niżej.

— Czyliż inaczej jest w miłości? — spytała go z uśmiechem jeszcze bardziej marzącym, niż był jego, a taką niewymowną jaśniejącym słodyczą.—Patrz, mój Janie Maryo, od chwili gdy cię pokochałam, przestałam właściwie być sobą, jestem tylko tobą, w tobie! Być jednem z tobą, spłynąć zupełnie z twojem jestestwem—oto najwyższe moje pragnienie. I to jest snadź właśnie istotą miłości.

Wydajeż ci się to w sprzeczności z tem, coś mówił przed chwilą? Nie, nie! To zlanie się z tobą jest tęsknotą za tem, co jest w tobie wiecznego, co jest po za tem, co uważasz za własne swe ja. Dla tego miłość jest wieczna, dla tego jest mocniejsza od śmierci, jak napisano w Piśmie.

Jasne włosy spływały jej promieniami przez twarz i dotykały jego czoła, gwiezdne jej źrenice zanurzały się w źrenicach jego głęboko, głęboko, zdawało się iż dusza jej niby motyl na ustach jej siadła, uśmiech jej był jako drganie skrzydełek Psychy, a świeży, słodki jej oddech był jak podmuch wietrzyka, ktory tylko co przebiegł przez kwieciem okrytą koronę wróżebnego jakiegoś drzewa.

— O moja Beatrycze!—rzekł cicho, cicho.— Iść zbożnie za tobą, znaczy wstępować do empyreum!

Ale w tejże chwili jak odblask z piekieł mignęła mu w głowie myśl, że nie pójdzie za nią do żadnego jasnego przybytku szczęścia i niewysłownej chwały Bożej jak Dante. To było próżne marzenie! Jakże straszną była w zestawieniu z niem rzeczywistość! Ach, tak, Beatrycze zostanie tutaj, w tej słonecznej Kampanii z kwiatami i ptakami — a on pójdzie sam w dół, pod wilgotną ziemię, na której raj ten rozkwita... Ona go zapomni!...

Sposępniał. Przymknął oczy, niby światłem znużony, właściwie wszakże uczynił to tylko dla tego, aby módz milczeć i aby Caterina nie spostrzegła łzy, która gwałtem mu się do oka cisnęła. Twarz jego przybrała w ten sposób, mimo jego wiedzy, wyraz głębokiego smutku. Dziewczę przeraziło się, widząc ten chmurny cień na jego czole. Leżał bez ruchu z zamkniętemi oczami. Coś ukłuło ją, jak ostrze noża. Czyliż nie wyglądał jak martwy? Odchyliła się nagłym ruchem od niego. Bała się, aby nie spostrzegł jej wzruszenia, gdyby oczy otworzył. Wstała, niby chcąc narwać bukiecik fiołków, i zeszła powoli kilka kroków ze wzgórka. Gdy uczuł, że się oddala, rozchylił powieki i ujrzał ją w dole, klęczącą między kwiatami.

— Jakaż ona spokojna — pomyślał. — Gdy mnie już nie będzie, ach, będzie z równym spokojem zrywała dalej fiołki, jak teraz, położy je zapewne na mój grób... pierwszego, drugiego roku... Później... Och, toć to naturalne, że mnie zapomni! Przygotowuje się już teraz do utracenia mnie! — Znajdziemy rozwiązanie tam, dokąd wszyscy zmierzamy.— Temi słowy chciała mnie pocieszyć, przygotowując mnie na śmierć. Piękna jej dusza pełna jest wiary, którą radaby, niby balsam, i w moją przelać!... Cała dzisiejsza jej rozmowa była jakiemś uspokajaniem. Tak, tak, chciała mi powiedzieć: przyjacielu, bądź silnym, zgódź się ze swym losem! Oto ja jestem silna.

I w niesprawiedliwości swej zaczął uczuwać coś jakby nienawiść. Ten jej spokój, ta jej siła urażały go.

Caterina, nie przeczuwając jego mąk, jego chorobliwego, tak nagle, niby kurcz niespodziany powstałego rozdrażnienia, wracała pomału z wielką równianką fiołków.

Jan Marya zamknął znowu oczy, udając, że śpi. Bał się przemówić, miał niewyraźne przeczucie, że mówiłby z goryczą i że jest niesprawiedliwy. Czuł to, ale nie miał siły, aby się przemódz.

Caterina siadła niedaleko niego i patrzała nań w zamyśleniu. Leżał tak długo bez najmniejszego poruszenia.

— Śpi—myślało dziewczę. Zdawało się, że tak. Nie chciała mu więc przeszkadzać. Twarz jego była teraz pogodna, Jan Marya zaczął się jednak wewnętrznie uspokajać i coś niby półsen opanowało go po chwili w istocie, bo ciało jego było słabe. Caterina patrzała długo w dal, na niebo. Wydawało jej się, że zwrócone na niego spojrzenie mogłoby go we śnie niepokoić. Ostatecznie wszakże powróciły oczy jej znowu ku niemu.

— Wygląda jak martwy—szepnęła w duszy znowu, i zadrżała.

W tej chwili zaigrał śpiącemu bezwiedny uśmiech na obliczu.

— Jakaż pogoda na jego twarzy — rozmyślała Caterina. — Cały smutek jego pierzchł jak cień przelotny. Jakiż piękny jest teraz. Dzięki ci, słodki śnie! Ty odganiasz wieczne nasze dręczycielki: wątpliwość i tęsknotę. Cóż dopiero siostra twa — śmierć? Czyliż nie jest sen symbolem śmierci? Tak, sen to śmierć na kilka godzin. Czemuż tedy tego długiego snu się lękać, gdy ten krótki taki nam jest pożądany?... Gdzie jest teraz jego dusza?... — Ty odpoczywasz, ona w drogę idzie—ty śpisz, ona po światach błądząc czuwa. — Tak napisano w tych wierszach, które—im dalej—tembardziej mię pociągają, pocieszają i przeświadczają... Jeśli sen jest czasowem jeno z trosk wszystkich wybawieniem, a śmierć wybawieniem ostatecznem i wiecznem, jakżeśmy niewdzięczni, że wołamy „święty, słodki śnie!“ a nigdy „słodka, święta śmierci?“

Zbliżyła się o krok do śpiącego.

— Tak, tak—szeptała—kocham cię, słodka, święta śmierci! Twój majestat, twój spokój wielki, twa wielkość Boga pełna jaśnieją mi tu z tego czoła, na którem pieczęć swą już wycisnęłaś. Powiedziałam życiu: oto mąż, którego kocham, dla niego chcę żyć! Lecz życie odwróciło się ode mnie i rzekło mi: ten mąż nie jest w domu mym. O święta śmierci, tobie powiadam teraz: oto mąż, którego kocham, z nim chcę umrzeć... i ty się nie odwrócisz, jak życie to uczyniło...

Zachwiała się. Wyrzut jakiś ukłuł ją w głębi sumienia. Jakie miała prawo kołatać do wrót domu śmierci? Nie, jej nie wolno z nim odejść. I śmierć jej nie chce! O, sroga jest, jak srogiem było życie. Oboje chcą ją z nim rozłączyć... To bezlitosne...

Caterina załkała i Jan Marya zbudził się ze swego półsnu lekkiego. Podniósł się gwałtownie, rumieniec przebiegł mu twarz, gorączkowe wzburzenie, chorobliwa małoduszność wstrząsały nim jak chwiejną trzciną.

— Ach!—zawołał—opłakujesz mnie już, jak na pogrzebie!

— Nie, nie — broniła się słabo przerażona i pomieszana.

— Oh, myślisz, że o tem nie wiem? — mówił dalej bezmyślnie, w połowicznej malignie—myślisz, że nie czytam tego w oczach twych, iż cię już nużę, iż pragniesz ulgi, a w oczach tego Luigie'go, którego nienawidzę, myślisz, że nie napisane tam wyraźnie, iż czekają już codzień na ten mój zgon, który tak pomału się zbliża?

Czuł, że był okrutny, niesprawiedliwy, potwornie niewdzięczny, ale szalona rozpacz nim wstrząsała.

Caterina drżała całem ciałem, padła przy nim na kolana i zarzuciła mu ręce na szyję.

— Uspokój się—prosiła go—nie zważam na twoje wyrzuty, sam wiesz że mi krzywdę wyrządzasz. I jemu też.

— Obchodzisz się ze mną jak z dzieckiem! Nie potrwa to długo, myślisz sobie i znosisz. Jesteś dobra, wiem, a ja jestem zły. Ale twoja dobroć, twój spokój pochodzi ztąd, że miłość twoja jest zimna. Ja kocham cię, Caterino, jak jedynie naprawdę kochać można: w wiecznej ekstazie, szalenie, rozpacznie, z niebem i piekłem w duszy! A twoja miłość. — Umilkł.

Caterina patrzała mu w oczy.

— Niewdzięczny—rzekła i łzy jej się polały—miłość jest mocniejsza, bo umie znosić.— I głowa opadła jej na piersi pod niezmiernem boleści brzemieniem.

Jan Marya wybuchnął dzikim, rozpacznym płaczem. Skrucha jego była teraz równie wielka, jak przedtem jego wina.

— O Caterino — prosił — czyż zdołasz mi przebaczyć? O, gdybyś wiedziała, jakie znoszę męki! Caterino, ty wiesz, że żyć nie będę! I ty, ty mnie zapomnisz. To nie wyrzut, stanie się to z czasem—wiem, po długim czasie... ale stanie się to... A potem wiem, że zostaniesz kiedyś lego, Luigi'ego... I to znowu nie wyrzut! On zasługuje na cię bardziej niż ja, i dobrze uczynisz, i ja... ja błogosławię wam! Ale, Caterino, męka to jednak nieskończona. Ja stanę się dla ciebie legendą, będziesz kiedyś ze wzruszeniem, z elegijnym uśmiechem opowiadała o mnie swej córce, jak matka twoja tobie o swym muzyku w Czechach! Będzie to znowu coś jak legenda o tej róży!

I płakał, aż serce mu pękało. Caterina była bez słów. Boleść niezmierna powaliła ją prawie na ziemię. Tak, tak, takie było życie. To nie były żadne fantazye, żadne gorączkowe majaczenia, to, co on mówił, to była prawda! Każdy ból z czasem się ukaja, każdy, każdy! I jej, jeśli żyć będzie, stanie się z czasem ta niezmierna miłość, którą teraz żyła, prześnionym snem, a ta wielka boleść nad jego stratą zostanie jej z czasem odjęta jak każdemu—ta wielka boleść, która jedyna ogromowi miłości jej godnie odpowiadała! I ludzie wysławiają za to przyrodę, że w końcu daje nam zapomnienie! Odjąć jej boleść, byłoby to dopuścić się świętokradztwa w jej sercu. Porwała się buntowniczo.

— Janie Maryo — rzekła wielkim, zdumiewająco pewnym i uroczystym głosem: — Ja wierzę w Boga—i na żywego Boga ci przysięgam, że się mylisz.

Zdziwiony spojrzał na nią pytająco.

— Nie będę nigdy należała ani do Luigi'ego, ani do kogobądź innego—rzekła i podniosła rękę do przysięgi.

Wziął ją za obie ręce.

— Nie przysięgaj!—zawołał—nie chcę, abyś życie swe pamięci mej poświęcała. Nie chcę, abyś smuciła się do śmierci. Chcę, abyś szczęśliwą była! Zwalniam cię ze wszystkich przysiąg Jestem nędznik. Nie byłem nigdy nędznikiem, ale teraz, w tej chwili, już nim nie jestem! Tyś, tyś mnie zbawiła. Wróciłaś mię samemu sobie. Caterino, to choroba moja zawiniła, nie potępiaj za to duszy mojej!

(Dalszy ciąg nastąpi.)